



HOKEJ,
DUMA
o
UPRZE
DZENIE



Lia Riley

editio
RED

Tytuł oryginału: Puck and Prejudice

Tłumaczenie: Olga Kwiecień

ISBN: 978-83-289-2141-2

Copyright © 2024 by Lia Riley

Published by arrangement with HarperCollins Publishers.

All rights reserved.

Polish edition copyright © 2025 by Helion S.A.

Original interior text design by Diahann Sturge-Campbell

Hockey puck illustration C Vector Tradition/Stock.Adobe.com

Open book illustration C ~Bitter~/Stock.Adobe.com

All rights reserved. No part of this book may be reproduced or transmitted in any form or by any means, electronic or mechanical, including photocopying, recording or by any information storage retrieval system, without permission from the Publisher.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

editio.pl/user/opinie/hokejd

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: editio.pl (księgarnia internetowa, katalog książek)

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

ROZDZIAŁ 1



Tucker Taylor stąpał po lepkiej podłodze, niosąc do stolika drugą kolejkę. Najlepsze dni tego pubu minęły prawdopodobnie kilka wieków temu, ale zdawało się to nie przeszkadzać jego towarzyszkom, których głosy dobiegały z tonącego w półmroku zakątka sali.

Jego młodsza siostra, Nora, skinęła krótko głową, sięgając po kufel piwa, i kontynuowała swoją tyradę:

– Bez wątpienia wpływ Jane Austen jest najbardziej dalekosiężny. Jej spostrzeżenia dotyczące kwestii społecznych znacznie wyprzedzały epokę, a analizy klasowe i społeczne pozostają równie aktualne dziś, co w dziewiętnastym wieku.

– Daj spokój! – Jej przyjaciółka Pip opadła na oparcie, wykrzywiając piegowatą twarz. – Siostry Brontë były literackimi buntowniczkami. To one dały nam pana Rochester, pierwowzór niegrzecznego chłopca, i Heathcliffa, który zapoczątkował ideę związku bez zobowiązań.

Obie kręciły się w kółko, już od czterdziestu minut dyskutując o nieżyjących pisarkach. Tuck osunął się na swoje miejsce i po raz kolejny bezmyślnie sprawdził telefon. Może wyskoczy coś ciekawego, jak podwodne triki hokejowe, filmiki z ratowania kociąt albo zwyczaje godowe peruwiańskich stonóg olbrzymich. W tym momencie zadowolilby się nawet zwykłą prognozą pogody.

– Wolisz ponuractwo i katastrofizm od dowcipu, uroku i stabilności finansowej? – prychnęła Nora. – Po co ci szalona namiętność, skoro możesz mieć wygodne małżeństwo z odrobiną przekomarżania? Stary... – Wykonała w kierunku Tuckera gest, jakby ważyła coś w dłoniach. – Kogo byś wybrał: szefa, który cię molestuje i na pewno nie trzyma żony zamkniętej na strychu...

– ...czy – wtrąciła Pip – nadętego dupka, który wstydzi się swojego zauroczenia tobą?

– Co? – Tuck znieruchomiał, mając nadzieję, że nie wygląda jak sarna złapana w światła reflektorów. – Żadnego z nich?

Obie kobiety jęknęły i jednocześnie przewróciły oczami, po czym wróciły do swojej dyskusji.

Nora, studentka literatury brytyjskiej na Uniwersytecie w Bath, zaplanowała już krótki wyjazd ze znajomymi do wioski Hallows Gate, kiedy Tucker niespodziewanie postanowił ją odwiedzić. Nalegała, by do nich dołączył. Tego wieczoru cała grupa wybrała się do pubu Ye Olde King's Head na rynku, by świętować Jul, przesilenie zimowe.

– Co się stało z głową nowego króla? – wymamrotał Tucker, gdy zaparkowali przed pubem. Pip, koleżanka Nory z wydziału, odpowiedziała mu wymuszonym uśmiechem, ledwo poruszając mięśniami twarzy. Tucker postanowił więc się wyłączyć, słuchając jednym uchem dyskusji o tym, która z literackich ikon jest najlepsza... Jane Austen czy siostry Brontë.

Kogo by wybrał na najlepszego bramkarza? Brodeura? Nie, pewnie Haška. A najbardziej ekscentrycznego? Trudno powiedzieć. Może Bryzgałowa – ten gość to istny wariat w bramkarskim stroju. Z równym prawdopodobieństwem mógł zacząć gadać o niedźwiedziach, co rozważać podróże w czasie.

Pociągnął łyk piwa i bursztynowy płyn zniknął w jego gardle, gdy ocierał pianę z górnej wargi. Nie minęło dużo czasu, zanim jego umysł znów przeszedł w tryb samolotowy.

Godzinę później Nora i jej koleżanka wciąż były pogrążone w rozmowie. Tucker spędził ten czas, zajadając się smażoną rybą z grubymi, złocistymi frytkami – przepraszam, tutaj zwało się je *chips* – oraz purée z groszku, a na deser pochłonął olbrzymią porcję lepkiego puddingu toffi. W międzyczasie dyskretnie wysyłał wiadomości do kolegów z drużyny.

Tysiące kilometrów stąd zaczynał się właśnie mecz – Austin Regals przeciwko Denver Hellions – a on znowu nie grał. Powinien teraz jeść swój szczęśliwy przedmeczowy posiłek: makaron kokardki z masłem, zapijając colą i mając na sobie swoje szczęśliwe bokserki z kreskówkowymi aksolotlami. Koledzy z drużyny zawsze się podśmiewali z tych jego przesądów, ale po cichu je szanowali. W końcu bycie bramkarzem dawało ciche przyzwolenie na dziwactwa. Żadne rytuały nie przygotowały go jednak na to, że lekarz drużyny zeszłej wiosny znajdzie guzek pod jego pachą, ani na diagnozę chłoniaka Hodgkina w stadium 1A. Dobra wiadomość? Łatwo go wyleczono. Ale terapia była piekłem i przez większość tego sezonu, jeśli nie przez cały, będzie musiał odpoczywać.

– Hej. – Nora szturchnęła go lekko. – Nudzimy cię, co?

– Nie, wszystko w porządku. – Powstrzymał potężne ziewnięcie.

– Po prostu nie mam wiele do dodania.

Pip wykrzywiła usta w grymasie.

– Wolałbyś nam opowiedzieć, jak mocno uderzyłeś krążek?

Nie mógł się zdecydować, czy ona żartuje, czy po prostu go wkurza. A może jedno i drugie.

– Właściwie to moim zadaniem jest go zatrzymać – odparł.

– Dajcie spokój, ludzie – błagała Nora, pokazując znak pokoju. – Jestem pewna, że znajdziemy jakiś wspólny język na tym diagramie Venna naszej rozmowy.

Tuck wymienił krótkie spojrzenie z Pip i oboje w milczeniu się zgodzili, by potraktować kwestię dzielących ich różnic podobnie jak zagadkę skarpetek ginących w praniu – jako coś tajemniczego i niemającego rozwiązania.

– A może wy dwie zostaniecie tutaj i będziecie kontynuować swoje literackie dyskusje do woli, a ja wrócę do pensjonatu i trochę się zdrzemnę. Spotkamy się rano na crumpetach czy czymkolwiek innym, co tu podają na śniadanie.

– Naprawdę? – Nora zmarszczyła brwi. – Pip i ja też możemy już iść. Rzeczywiście wyglądasz na zmęczonego.

– Nie, wszystko w porządku – skłamała gładko. Miał okazję nabrać w tym wprawy.

– Wiem, że zawsze wybrałbyś hokej zamiast South Hampshire – powiedziała Nora, obejmując go na chwilę jednym ramieniem. – Ale cieszę się, że razem pozwiedzamy. Nie miałeś zbyt wielu okazji, żeby zobaczyć świat poza lodowiskiem. Uwierz mi, tu jest naprawdę fajnie.

– Brzmi to jak plan. – Żartobliwie pociągnął ją za jeden z warkoczy.

Nora dyskretnie przesunęła dłoń w jego stronę. Zajął mu chwilę, zanim zorientował się, że podaje mu kluczyki do swojego samochodu.

– Nie – odpowiedział stanowczo. – Przejdę się.

– Wyświadczyłbyś mi przysługę – przekonywała Nora. – Musimy wypić znacznie więcej, zanim przejdziemy do poetów romantycznych, a ty wypiełeś ledwie półtora piwa.

– Przynajmniej zgadzamy się co do tego, że Percy Bysshe Shelley jest najgorszy – mruknęła Pip do swojej szklanki.

– Odebrał dziewictwo swojej drugiej żonie, Mary, na grobie jej matki – wyjaśniła Nora, jakby to wszystko tłumaczyło. – A potem ta sama Mary napisała *Frankensteina*.

– Hmm. – Nie ma co się oszukiwać, było coś fajnego w tym, że miało się w rodzinie chodzącą encyklopedię.

– Ale zbaczam z tematu. Weź samochód. – Ton Nory był stanowczy. – Później napiszę do ciebie SMS-a, żebyś mógł po nas wrócić.

– Umowa stoi. – Zacisnął dłoń na kluczykach. – Uważaj na siebie. I nie gadaj z nieznanymi.

Nora uniosła dwa kciuki w górę.

– Jeśli ktoś zaoferuje nam cukierka, kopnę go w piszczel.

Tucker utrzymał uśmiech na twarzy, dopóki nie przekroczył progu. Na zewnątrz wsunął ręce do kieszeni dzinsów, a rytmiczny stukot jego kroków odbijał się echem od brukowanego placu. Nisko wisiała nocna mgła pełna zapachu dymu z kominów i gnijących liści – zupełnie odmiennego od woni lodu i chloru, do których przywykł. Otaczające go z czterech stron ceglane kamienice mogłyby pochodzić z bajki, gdyby tylko wierzył w baśnie. Ale on znał jedynie twardą prawdę, która dręczyła jego umysł.

Nie powinno mnie tu być.

Nie powinno mnie tu być.

Podszedł do mini coopera Nory. Samochód był kwadratowy jak toster. Otworzył drzwi i zmarszczył brwi, patrząc na fotel pasażera. Cholera. Nie ta strona. Obchodząc auto, powtarzał w myślach: „Jechać lewym pasem”.

Wewnątrz samochodu jego kolana uderzyły o kierownicę, gdy wkładał kluczyk do stacyjki. Musiał opuścić głowę niemal do piersi, żeby się zmieścić. Prychnął. To był bardziej wózek golfowy niż samochód. Sięgając po pas bezpieczeństwa, podskoczył, gdy łokciem przypadkowo nacisnął klakson. Poprawka – to była cyrkowa atrapa!

Może lepiej było iść pieszo. Nawet pomimo zimna.

Redukując bieg i zwalniając sprzęgło, wjechał ostrożnie w pustą uliczkę. Para na szybach ograniczała widoczność. Z niechętnym grymasem uchylił okno i przygotował się na lodowaty podmuch grudniowego powietrza, który wdarł się do środka niczym nieproszony gość. Przejeżdżając przez kamienny most nad strumieniem na obrzeżach miasta, sięgał właśnie do pokrętła radia, gdy nagle przez szum wody przebił się czyjś okrzyk.

Z gospodarstwa na wzgórzu wypadł jak burza pies pasterski. Pędził prosto na drogę, a tuż za nim biegł chłopak we flanelowej piżamie i za dużych gumowych butach. Tucker poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła, gdy gwałtownie nacisnął hamulec.

Cholera. Gołoledź. Pies i dzieciak, oświetleni reflektorami, zamarli przed nim z szeroko otwartymi oczami. Opony zapiszczały. To się nie uda. Uderzy w nich. Bez namysłu gwałtownie skręcił kierownicę w prawo, i zjechał gwałtownie z drogi niczym kowboj podczas rodeo niesiony przez oszalałego byka. Podskakiwał i trząsał się, tracąc kontrolę i sunąc przez śnieg w kierunku zamarzniętego stawu.

Z głuchym łoskotem samochód przewrócił się na bok od strony kierowcy. Rozległ się trzask pękającego lodu. Lodowata woda wlała się przez otwarte okno. Tucker zacisnął i rozluźnił pięści, starając się opanować. Skupił się na uczuciu paznokci wbijających się w dłoń – lekki ból pomagał mu zachować przytomność umysłu. Uspokój się. To nic takiego. To jak terapia zimną wodą, którą fizjoterapeuci kazali mu robić po ciężkich meczach. Musiał oddychać powoli i miarowo. Szybkim ruchem odpiął pas bezpieczeństwa, i to w samą porę. Samochód błyskawicznie zanurzał się w lodowatej toni.

Odepchnął od siebie tę myśl, szarpiąc za klamkę. Zablokowane. Cholera. Będzie musiał przecisnąć się przez okno.

Jako zawodowy sportowiec był przyzwyczajony do intensywnych treningów – skoków przez przeszkody, ćwiczeń na drabince koordynacyjnej, sprintów i jazdy na rowerze, które utrzymywały jego kondycję na najwyższym poziomie. Jednak w zeszłym tygodniu, gdy wyszedł na jogging, musiał zwolnić do marszu już po niecałych czterystu metrach.

Pieprzyć raka.

Mimo wszystko zachował zimną krew. W końcu płacono mu za to, by nie tracił głowy w stresujących sytuacjach. Musiał wyobrazić sobie, że siedzi przy trzaskającym ogniu, suchy i ciepły, opowiadając tę historię Norze. Powtórzył to sobie w myślach, zwizualizował tę scenę i z determinacją wczołgał się w wąski otwór okna. Był już w połowie drogi, gdy nagle jego pasek o coś zaczepił.

Próbował się odepchnąć, ale ręce miał jak z waty. Czuł, że z każdą sekundą opuszczają go siły.

Porażka nie wchodziła w grę. Nie mógł się tak łatwo poddać. Nie po tym wszystkim, co przeżył. Zacisnął zęby, skupiając się z całych sił. Musiał kontrolować każdy ruch i wykonywać go precyzyjnie – nie było miejsca na błędy czy zmarnowany wysiłek. Liczyła się tylko skuteczność.

Serce waliło mu jak młot pneumatyczny, gdy w końcu się uwolnił i zaczął płynąć ku powierzchni. Wtedy wierzchołek jego głowy uderzył o lodowy sufit. Nie do przebicia. Bez wyjścia. Wszystko było tak zimne, a jednak jego płuca płonęły jak w pożarze, piekąc z dziką intensywnością. Uderzał gwałtownie pięściami. Jego knykcie ocierały się o lodową ścianę. Paznokcie rwały się i łamały. Żadnego wyjścia. Cholera! Czuł, jak opuszczają go siły, gdy komórki jego ciała krzyczały o tlen. Czarna woda naciskała ze wszystkich stron. Nie mógł się oprzeć. Musiał zaczerpnąć powietrza. Gdy odruchowo wciągnął oddech, ciemność wtargnęła do środka. Ogarnęła go intensywna pustka połączona z wirującym chaosem, poczuciem, że to koniec wszystkiego. A potem... nastąpiła nicość.

ROZDZIAŁ 2



Moje najbardziej zaniedbane dziecię,

chwytam za pióro, by odnieść się do wymownego milczenia, jakie nastąpiło po moim poprzednim liście. Mogę jedynie przypuszczać, że Twoje rozrywki pozostawiły Ci niewiele czasu na korespondencję.

W zeszły poniedziałek miałam przyjemność odbyć spacer po Ogrodach Kensington w towarzystwie Lavinii Throckmorton. Pośród kwitnących kwiatów droga Lavinia podzieliła się ze mną zadziwiającą nowiną – jej Augusta, mając zaledwie osiemnaście lat, zaręczyła się. To prawdziwy cud, zważywszy, że Ty, moja droga, ukończyłaś już dwadzieścia siedem wiosen, wciąż ciesząc się samotnym blaskiem.

Z właściwą sobie delikatnością Lavinia dopytywała o Twoje samopoczucie. Zapewniłam ją, że wiejskie powietrze działa na Ciebie niezwykle ożywczo. Moja droga uciekinierko, wyruszyłaś w tę sielską podróż do kuzynki z obietnicą, że wrócisz po dwóch tygodniach. Minął już jednak miesiąc, a Ciebie wciąż nie ma.

Pod Twoją nieobecność Twój brat (po raz kolejny) podjął się zadania znalezienia odpowiednich kawalerów, którzy –

wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu – wciąż pozostają wolni. Nie muszę Ci przypominać, że szanse na zawarcie związku maleją z każdym dniem. Z niecierpliwością oczekuję Twojego rychłego powrotu.

Z najgłębszą czułością i nutką matczynego zniecierpliwienia

Twoja kochająca matka

Nutką? Nutą! Lizzy prychnęła i opuściła list na kolana. Na litość boską. Jej samozwańcza „kochająca matka” była gotowa wymalować na prześcieradle napis „Proszę, poślub moją córkę” i wywiesić go w oknie rodzinnego domu w Mayfair.

Zacisnęła dłonie na kocu, na którym siedziała, powstrzymując się od wymachiwania pięściami w stronę kaczek pływających w stawie u podnóża wzgórza. Kaczki krzyżówki spokojnie żerowały wśród rukwi wodnej, zajęte swoimi sprawami. Jej matka mogłaby wziąć z nich przykład.

Najwyższy czas, by ta kobieta znalazła sobie jakieś hobby. Może łucznictwo? Albo subtelna sztuka akwareli? A może pocieszenie w dobrze dobranej lekturze, najlepiej skandalizującej? Cokolwiek, byle tylko odwrócić uwagę od tematu perspektyw matrymonialnych jej córki, a raczej ich braku.

Jej kuzynka Georgie miała więcej szczęścia. Choć pochowała męża, zyskała wolność. Tu, w *Hallow's Gate*, wiodła niezależne życie wesołej wdowy, stanowiąc jaskrawy dowód na to, co było możliwe. Poprzedniego wieczoru, podczas kolejnego z legendarnych przyjęć Georgie Lizzy doznała olśnienia przy daniu rybnym. Uderzył ją fakt tak bolesnie oczywisty, że pochyliła się do swojej przyjaciółki Jane i szepnęła: „To niepisana prawda, że każdy majątny kawaler byłby mile widziany jako potencjalny mąż dla rozsądnej kobiety chcącej zostać wdową”.

Jane zakrzuszyła się kęsem pstrąga w kaparach i kopnęła ją pod stołem czubkiem buta – to było nieme ostrzeżenie, by się opanowała.

Ale gdzie tu było kłamstwo? Choć żałobna czerń nie była jej ulubionym kolorem, szybki przegląd faktów uświadomił jej, że wdowieństwo niesie ze sobą wiele korzyści.

Po pierwsze: niezależność finansowa. Szczęśliwe wdowy mogły odziedziczyć majątek i dochody, a następnie samodzielnie zarządzać swoimi sprawami. Koniec z prośzeniem brata, matki czy – co gorsza – przyszęłego męża o kieszonkowe.

Po drugie: szacunek społeczny. Wdowy mogły podróżować i prowadzić życie towarzyskie z mniejszą kontrolą i ograniczeniami.

Po trzecie: wolność. Wdowy mogły samodzielnie podejmować decyzje dotyczące swoich gospodarstw domowych, finansów i życia towarzyskiego. Nie podlegały już władzy męża ani uciążliwym obowiązkom małżeńskim. Miały możliwość pozostania samotnymi do końca życia, jeśli tylko tego pragnęły.

Oczywiście jeśli pozwoliłoby się emocjom wziąć górę, doświadczenie wdowieństwa mogłoby zostać zabarwione żalem lub strachem, jak w przypadku jej matki po nagłej śmierci ojca dziesięć lat temu. Mama, nie wiedząc, jak sobie poradzić bez męża, wysłała ponownie za mąż za zamożnego, choć zarozumiałego biznesmena, Rufusa Alby'ego, tym samym zaprzepaszczając szansę na niezależność.

Należy też przyznać, że małżeństwo z mężczyzną o skromniejszych środkach stawiałoby przyszłą wdowę w niekorzystnej sytuacji. Dlatego jedynym rozsądnym rozwiązaniem było poślubienie kogoś o odpowiednim majątku, a następnie...

Co? Czekać, aż umrą?

Lizzy nerwowo przygryzła dolną wargę. Cóż, z pewnością nie była morderczynią. Wręcz przeciwnie – nie potrafiła nawet zabić pająka.

Czy mogłaby poprosić brata, by ograniczył poszukiwania do mężczyzn o słabym zdrowiu? To dopiero byłaby niezręczna rozmowa.

Henry, znajdź mi proszę bogatego męża, ale bądź tak miły i upewnij się, że cierpi na zaawansowaną gruźlicę, dobrze?

Oparła się wygodnie na łokciach, nie przejmując się kosmykami włosów wymykającymi się z niedbałego koka na karku. Ugryzła jabłko, które wcześniej zwinęła z piwnicy.

Angażowanie Henry’ego byłoby fatalnym błędem. Bez wątpienia pobiegłby z tą informacją prosto do mamy, a ona nie dałaby nam spokoju, roztrząsając temat w nieskończoność.

Lizzy wzięła kolejny kęs, krzywiąc się przy przełykaniu. Miąższ jabłka miał mączystą konsystencję, smakował bardziej jak odległe wspomnienie owocu. Żucie dawało jej jednak zajęcie, które pomagało rozładować napięcie, jakie czuła w środku – to, które chciało złamać zasady trzymające ją niczym kanarka w ozdobnej klatce.

Niesprawiedliwe było, że musiała wracać do Londynu i udawać zainteresowanie nudnymi mężczyznami, którzy nie potrafili rozmawiać o niczym poza pogodą, polowaniami czy menu kolacji. I to w najlepszym wypadku. W gorszym scenariuszu czekało ją wysłuchiwanie wywodów o hodowli koni lub, co najgorsze, o dolegliwościach dżentelmenów – czy to o podagrze, czy rozwolnieniu.

Mózg się lasuje od takich rzeczy.

Georgie hodowała psy i organizowała przyjęcia tylko dla kobiet, w czasie których nie zachęcano wyłącznie do delikatnego skubania z talerzy. O nie, tutaj jadło się z rozmachem. Niedawno urządziła lunch składający się wyłącznie z deserów! Stół ugiął się pod ciężarem trufli, galaretek, makaroników, tortów wszelkich rozmiarów, blancmange, syllabubów i crème brûlée. Popijały to wszystko irlandzką whisky, maderą i rumem, aż w końcu jedna z pań wyciągnęła skrzypce i zagrała skoczną melodię, która porwała je do nieskrępowanego tańca pozbawionego jakichkolwiek właściwych kroków. Skończyły, osuwając się na ściany lub rozciągając na podłodze, a ich śmiech i sapanie odbijały się echem w wirującym pokoju.

W innej wiosce w południowym Hampshire ich przyjaciółka Jane nie tylko pisała książki, ale nawet jedną wydała: *Rozważną i romantyczną*. Wprawdzie oficjalnie została ona wydrukowana pod pseudonimem „Pewna Dama”, by chronić jej prywatność, ale jednak tego dokonała. A ponieważ Jane była przemiła, nadała swojej najnowszej głównej bohaterce takie samo miano jak Lizzy.

Elizabeth Bennet.

W zeszłe Boże Narodzenie Jane przeczytała jedno z krótkich opowiadań Lizzy zapisanych w jednym z jej licznych notatników. W *Zaczarowanym ogrodzie* młoda, niezwykle inteligentna dama, lady Geneviève Devereux, przybywa do posiadłości, by spędzić tam lato. Niesie ze sobą brzemię oczekiwań rodziny, która naciska, by zawarła korzystne małżeństwo. Pewnego wieczoru, spacerując w świetle księżycy po ogrodach, lady Geneviève przypadkiem odkrywa ukrytą bramę prowadzącą do zaczarowanego ogrodu. Tam znajduje błyszczącą fontannę, która podobno spełnia życzenia. Gdy lady Geneviève zastanawia się nad naturą swojego życzenia, spotyka tajemniczego mężczyznę – nie lorda czy bogatego dżentelmena, a jedynie skromnego, lecz przystojnego ogrodnika...

Jane powiedziała, że jej bazgroły „mają potencjał”, a Lizzy ukryła ten komplement w zakamarku swojego serca.

Potencjał.

Mogłaby go zrealizować, gdyby los nie skazywał jej z góry na wegetację w jakimś zakurzonej domu, gdzie miałyby jedynie ogrzewać łożo mężczyzny. Niestety, wydawało się, że samo przeznaczenie spiskuje, by ten scenariusz stał się nieunikniony.

Z frustracją krzyknęła i cisnęła ogryzkiem jabłka w zarośla, po czym znieruchomiała, przechylając głowę. Usłyszała dziwny dźwięk. Co to było? Kaczka? Umierająca kaczka?

Bardzo duża, bardzo umierająca kaczka?

Jej umysł zalały obrazy nędznego, miotającego się ptactwa wodnego, sprawiając, że przeszły ją ciarki.

Jak ona nienawidziła kaczek.

Zerwała się na nogi i uniosła spódnicę, wyciągając szyję, by zajrzeć w trzciny kołyszące się na wysokich, zielonych łądygach. Ich aksamitne, brązowe główki wesoło kiwały się na wietrze.

Napięte mięśnie jej pleców nieco się rozluźniły. Nieważne. Może to był tylko podmuch wiatru. Albo jakieś echo ze wsi. Albo...

I znowu to samo.

Poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy.

To nie brzmiało jak kaczka. Chyba że ta kaczka była jęczącym mężczyzną.

– Halo? – Zrobiła niepewny krok do przodu, czując suchość w gardle. – Wszystko w porządku?

Absurdalne pytanie. Ktokolwiek wydał ten dźwięk, znajdował się w mętным stawie. Oczywiście, że nie było w porządku. Wręcz przeciwnie.

Powstrzymała się od zmarszczenia brwi. Czyżby jakiś farmer wypił za dużo piwa w pubie Ye Olde King's Head? A może ktoś wcześniej poślizgnął się na zboczach i wpadł do wody?

Nie było sensu się wahać. Wsunęła list za dekollet i ruszyła na przód. Skoro już się w to wpakowała, to może równie dobrze iść na całość.

Podkradła się do brzegu, odpędzając natrętą ważkę, podczas gdy jej lniane buty chlupotały w błocie, uniemożliwiając ukrycie jej zbliżania się. Gęsia skórka pokryła jej ramiona, a ona powstrzymała pokusę, by się rozejrzeć, jakby ktoś miał przyjść i uwolnić ją od tego obowiązku. Nieważne. Poradzi sobie z tym świetnie. Jeśli pojawi się coś niebezpiecznego, to... to... walnie to prosto w nos. Georgie uczyła ją boksu. A przynajmniej powtarzała, że powinna się tego nauczyć.

Lizy wstrzymała oddech, gdy rozchyliła ramionami trzciny. Jej wzrok skrzyżował się ze spojrzeniem mężczyzny wyglądającego na brutala. Twarz o kanciastych rysach miał umazaną krwią, co

wraz z mrocznym, skierowanym w górę spojrzeniem nadawało mu surowy i groźny wygląd.

– C-co się stało? – wydusiła z siebie z trudem, ostrożnie, ale wyraźnie.

Z wyraźnym wysiłkiem podniósł się do pozycji siedzącej i dotknął końca nosa, krzywiąc się przy tym.

– Dostałem cholernym jabłkiem prosto w twarz.

Ten akcent. To charakterystyczne brzmienie, jakby szarpnięcie gitary. Słyszała go już wcześniej w mieście, ale rzadko.

Amerykanin.

I na dodatek olbrzymi. Mogłaby się założyć, że gdyby wstał, górowałby nad nią o głowę, a ona sama wcale nie była drobną istotką.

Pytania zaczęły się mnożyć. Dlaczego ściął włosy tak krótko? Jego kurtka była czarna, ale dlaczego materiał wydawał się tak osobliwy – zbyt błyszczący i bardzo puchaty – z dziwnymi metalowymi zębami łączącymi ją wzdłuż środkowego szwu? A jego długie, rozstawione nogi były obleczone w wytrzymałe wyglądający materiał w głębokim granatowym kolorze.

Z kolei on wpatrywał się w jej lawendową suknię spacerową, a jego wyraz twarzy zmieniał się od chłodnego niezadowolenia do niedowierzania, gdy prześlizgiwał się intensywnym spojrzeniem w górę i w dół jej sylwetki. Głębia jego skupienia wywołała w niej niespodziewany dreszcz. Nigdy wcześniej nie była obiektem tak jednoznacznej uwagi. To uczucie sprawiło, że poczuła się dziwnie bezbronna, a jednocześnie podekscytowana. Oparła się chęci poskromienia swoich dzikich włosów, ignorując fakt, że jej fryzura prawdopodobnie przypomina węzową grzywę Meduzy. Zamiast tego utrzymała jego spojrzenie, a między nimi zawisło nieme wyzwanie, gdy napięcie rosło. Liczyła w myślach: *raz... dwa... trzy... cztery...*

Pod ciemnym cieniem zarostu pokrywającego jego szczękę drgnął mięsień, przerywając bezruch.

Lizy pierwsza spuściła wzrok. Nie rozumiała, dlaczego nagle poczuła, że jej twarz płonie.

– Proszę pana. – Zawahała się, przełykając ślinę, by opanować drżenie głosu. – Czy na pewno wszystko w porządku...?

– Co ty masz na sobie? – wypalił.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 



Cel: sama, wolna i niezależna.

Plan: zostać wdową!

Tucker Taylor, bramkarz drużyny Austin Regals, musi wyleczyć kontuzję i odpocząć od hokeja. Postanawia więc odwiedzić siostrę, która mieszka na angielskiej prowincji. Tam na skutek wypadku wpada do lodowatej wody. Budzi się w 1812 roku, w świecie, w którym nie ma telefonów, hokeja ani burgerów. Jest za to poirytowana piękna, błękitnooka dziewczyna w lawendowej sukni.

Lizzy Wooddash marzy o interesującym życiu pełnym książek – ale bez męża. Jednak w Anglii w epoce regencji tylko kobieta o statusie wdowy ma szansę na odrobinę wolności i samodzielności. A jedynym sposobem, by szybko zostać wdową, jest poślubić umierającego mężczyznę lub zabić zdrowego męża. Niestety, żadne z tych rozwiązań Lizzy nie odpowiada. Tymczasem presja ze strony rodziny, by dziewczyna w końcu wyszła za mąż, rośnie z każdym miesiącem.

Nieoczekiwanie Lizzy uświadamia sobie, że przystojny dżentelmen z przyszłości może się dla niej okazać prawdziwym wybawieniem. Planuje, że po ślubie znajdzie sposób, by Tuck wrócił do swoich czasów – jego nieobecność pozwoli upozorować śmierć i uczyni Lizzy wdową. Prosty plan. Wydaje się idealny.

Tyle że serce rzadko trzyma się planu.

Lia Riley jest autorką uwielbianych powieści, znaną z lekkiego pióra, humoru i talentu do kreowania postaci, które łatwo pokochać. Lubi lasy sekwojowe, nadmorską mgłę, prokrastynację i idealnie zaparzoną kawę. Jest w 25 procentach sarkastyczna, w 54 procentach optymistyczna i w 122 procentach słaba z matematyki. Mieszka z rodziną w północnej Kalifornii.

ebook dostępny na:

ebookpoint

👁️ CUTE
👁️👁️ SENSUAL
👁️👁️👁️ SPICY
👁️👁️👁️👁️ DARK



EDITIO.PL

